

Jan Brzechwa

SZELMOSTWA LISA WITALISA

I

Znano różne w świecie lisy:
Był więc lis Ancymon Łysy;

Pospolity lisek rudy,
Pełen sprytu i obłudy;

Lis niebieski - wielka sknera;
Zezowaty lis - przechera;

Czarny lisek ogoniasty;
Lis Patrycy Jedenasty;

Srebrny lis niezwykle szczwany;
Lis Mikita spod Oszmiany;

Lis Telesfor farbowany,
Niebezpieczny i zawzięty;

Lis Wincenty, lis Walenty,

Lecz nie było w świecie lisa
Ponad lisa Witalisa.

Miał Witalis taki ogon,
Że nie było wprost nikogo,
Kto nie stanąłby zdumiony:
Taki ogon nad ogony!
I falisty, i puszysty,
I niezwykle zamaszysty,
I ruchliwy na kształt kity -
Niezrównany, znakomity!

Gdy Witalis kroczył drogą,
Wpierw widziano jego ogon,
Co jak ruda chmura zwisa,
A dopiero potem - lisa.

Gdy się lis pogrążył we śnie,
Dziesięć ptaków jednocześnie
W tym ogonie wiło gniazda,
Niosło jajka, potem - jazda!
Lis się budził niespodzianie
I - jadł ptaszki na śniadanie.

Gdy Witalis przed wieczorem
Kucnął sobie nad jeziorem
I potrząsnął swym ogonem,
Wszystkie rybki, zachwycone,
Wypływały bardzo prędko
Za ogonem jak za wędką:
Lis je w sosie wyśmienitym
Jadł na obiad z apetytem.

Był Witalis maści rudej,

Niezbyt gruby, niezbyt chudy,
Miał na prawym oku bielmo
I był szelmą. Straszny szelmą!

Miał rozumu za dziesięciu,
Toteż w każdym przedsięwzięciu
Wprawiał w podziw swoim sprytem,
Wyrobieniem znakomitym,
Orientacją doskonałą
I dowcipem, jakich mało!
A miał w sobie tyle dumy,
Jakby wszystkie zjadł rozумы.

II

Jest na wschodzie miasto Łomża.
Gdy na wschód się dalej zdąży,
Las wyrasta na bezkresie,
Ciemny wąwóz jest w tym lesie,
W tym wąwozie lis miał jamę,
A w tej jamie - dziwy same.

Więc lusterko posrebrzane,
Które z tego było znane,
Że gdy czychał ktoś na lisa,
Powstawała na nim rysa.

Prócz lusterka miał pudełko,
Dokąd zajrzeć mógł przez szkiełko,
By ustalić w sposób łatwy,
Gdzie zimują kuropatwy.
Lub na skraju jakiej łączki
Zabawiają się zajączki.

Miał prócz tego srebrną misę
Z ozdobami i napisem:
"Misa lisa Witalisa".
Zawsze pełna była misa
I nic z niej nie ubywało,
Choć Witalis jadł niemało.

Miał ponadto złoty grzebień,
Bowiem bardzo dbał o siebie,
I grzebieniem tym starannie
Czesał ogon nieustannie;
Rozczesywał raz i wtóry
Z góry na dół i do góry,
I raz jeszcze, i na nowo
Rozczesywał - daję słowo!

Był Witalis rodem z Polski,
Lecz kapelusz miał tyrolski,
W którym było mu do twarzy,
Choć wyglądał nieco starzej.

III

Raz posłyszał, że niedźwiedzie
Są w tym roku w wielkiej biedzie,
Więc nie tracąc chwili czasu,

Żwawo udał się do lasu.

Przyszedł grzeczny, miły, gładki:
- Cóż, robaczki? Cóż, niedźwiadki?
Krucho z wami? Chodzą gadki,
Że bezmięsne już obiadki
Jeść musicie! Ziółka, kwiatki,
Trawki, listki i sałatki!
Chodzą gadki, że za miedzą
Dwa zajęczki małe siedzą,
Które was za chwilę zjedzą!
Wstyd mi za was! Gdy posucha,
Niedźwiedź tylko w łapy dmucha.
Gdzie popatrzeć - chuderlaki!
Przykry mi jest widok taki!
Fe! Doprawdy, nie wypada,
Lepiej, gdy potrzebna rada,
Przyjść po radę do sąsiada.

Zawstydzili się niedźwiedzie:
- Żle się nam ostatnio wiedzie,
Poradź, poradź nam, sąsiedzie,
Powiedz, lisie Witalisie,
Jakie jest twe widzimi się?

Lis przyczesał sobie ogon
I powiedział z miną srogą:
- Chodźcie za mną! Znam zagrodę,
W której są prosięta młode.
Jest was pięciu i dla pięciu
Będzie dzisiaj po prosięciu!

Ucieszyły się niedźwiedzie:
- Prowadź, prowadź nas, sąsiedzie!

Poszli razem leśną drogą.
Sam Witalis, prężąc ogon,
Uroczyście szedł na przedzie.
A za lisem w ślad - niedźwiedzie:
Cztery stare, jeden młody.
Przyszli nocą do zagrody,
Lis obejrzał parkan, chatkę
I pociągnął za kołatkę.

- Któż to straszy dzieci nocą?
Kto przychodzi tu i po co?

- To Witalis - lis odrzeczł. -
Proszę, otwórz mi, człowiecze,
Z chlewu zabrać chcę prosiaki,
Bo mam dziś apetyt taki.

Po tych słowach lis dał nurka,
A tym czasem od podwórka
Psów zjawiła się gromada.
Każdy szczeka i ujada,
Każdy groźnie zęby szczyrzy,
Każdy gryzie, gdzie należy,
Aż niedźwiedzie, pełne trwogi,
Powiedziały sobie: - W nogi!

Ratuj, lisie Witalisie!
Ale psom aż w ślepiach skrzy się
I popadły w ferwor taki,
Że fruwały tylko kłaki.

Lis tymczasem, sunąc boczkiem,
Wbiegł przez furtkę drobnym kroczeniem,
Po szelmowsku mrugnął oczkiem,
Wszedł ostrożnie do kurnika,
Porwał kaczkę, gęś, indyka,
Trzy kurczaki i perliczkę,
Związał wszystko to rzemyczkiem
I, nie tracąc chwili czasu,
Pobiegł z łupem swym do lasu.

A niedźwiedzie, nieszczęśliwe,
Pogryzione, na wpół żywe,
Kulejące, głodne, chore,
Odszukały lisią norę.

- Przydybaliśmy cię, rybko!
Dosyć żartów! Wyłaż szybko,
Wyłaż, lisie Witalisie!

Lis Witalis już - po rysie
Na lusterku - poznał snadnie,
Że nań gniew niedźwiedzi spadnie.
Widząc, że mu coś zagraża,
Lis ukazał się w bandażach,
W plastrach, szmatach i gałganach:
- Spójrzcie, cały jestem w ranach!
Ogon strasznie mam zwichnięty,
Pokąsane wszystkie pięty:
Narażałem własne życie,
By was bronić należycie.
Wojna była nie na żarty,
Psy walczyły jak lamparty,
W sposób groźny i zażarty.
Lecz wyjawić mogę skromnie,
Że daleko im jest do mnie:
Gdym wyskoczył z za chałupy,
Padły pierwsze cztery trupy,
Jeden pies już po minucie
W przerażeniu wielkim uciekł,
Drugi chciał go wziąć w obronę,
Więc zabiłem go ogonem.
Cztery dalsze, poranione,
Położyły się pod płotem
I skonały wkrótce potem,
A jedynie niedobitki
Was napadły w sposób brzydki.

Cóż, dostaliście po skórze.
A dlaczego? Boście tchórze!

Zawstydziło to niedźwiedzi,
Brak im było odpowiedzi,
Więc nie żaląc się nikomu
Poszły głodne spać do domu.
- Żegnaj, lisie Witalisie!

Spać lisowi ani śni się!
Do swej jamy szybko wrócił,
Zdjął bandaże, plastry zrzucił,
Zerknął w lustro z miną błogą
I przyczesał sobie ogon.

Potem przyniósł chrustu wiązkę,
Żeby upiec sobie gąskę.
Gaska taka była wściekła,
Że na ogniu raka spiekła,
Lecz z natury była miła,
Więc się pięknie zrumieniła
I Witalis porcję tłustą
Zjadł z jabłkami i kapustą.

IV

W czas zimowej chłodnej pory
Wyszedł lis ze swojej nory:
- Do mnie, wszystkie głodomory,
Do mnie, z lasów, z kniei, z chaszczy!
Mam ja coś dla każdej paszczy!
Kto nie dojadł, ten się naje!
Znam zwierzęce obyczaje,
Znam zwierzęce apetyty
I mam pomysł znakomity,
Żeby każdy z was był syty.

Zewsząd zbiegły się zwierzęta,
Bo dla zwierząt to przynęta,
Pokąd iskra życia tli się.
- Gadaj, lisie Witalisie,
Przybywamy całą zgrają,
Bo nam kiszki marsza grają.
Opowiadaj, lisie, ściśle
O niezwykłym swym pomysle!

Lis tych słów uważnie słuchał,
Po czym rzekł zdejmując z ucha
Swoją kapelusz zawadiacki:
- Umieć piec ze śniegu placki.
Mam do tego obok, w lasku,
Piec własnego wynalazku.
Kto dostarczy kupę śniegu
I dorzuci mi do tego
Połec sadła lub słoniny,
Ten w niespełna pół godziny
Prosto z pieca na śniadanie
Placków tłustych niesłychanie
Pełen taki wór dostanie.

Mówiąc to potrząsnął worem,
Że aż z wora nad otworem
Buchnął, mile łechcąc w chrapach,
Pieczonemu ciasta zapach.
Zaś Witalis prawił dalej:

- Mnie bynajmniej się nie pali,
Takie placki stale jadam,

Ale sobie trud ten zadam,
By wyżywić was do wiosny,
Bo wasz wygląd jest żaloszny.

Co za placki! Szkoda gadać!
Mógłbym tydzień opowiadać
O ich cudnym aromacie,
O ich smaku! Otóż macie.

Z tymi słowy wyjął z wora
Placków tuzin czy półtora
I sam zjadł je z apetytem,
Pomlaskując sobie przy tym.

Po szelmowskim tym popisie
Padły głosy: - Witalisie,
Co się zjadło, to przepadło,
Dostarczymy śnieg i sadło,
Uczta będzie wyśmienita,
Chcemy najeść się do syta,
Chcemy placki mieć - i kwita!

Lis przyczesał sobie ogon:
- Placki jutro być już mogą.

Więc nazajutrz bardzo wczesnie,
Gdy las tonął jeszcze we śnie,
Tłumy zwierząt szły w szeregu,
Wlokąc całe góry śniegu,
A do tego jeszcze sadło -
Ile na kogo przypadło.

Lis już stał przed swoją norą.
Spojrzał: owszem, sadła sporo!
Pełen werwy i ochoty
Wziął się zaraz do roboty,
Zdjął kapelusz, duchem skoczył,
Z pięćset śnieżnych kul utoczył,
Każdą spłaszczył szybkim ruchem,
Tak jak robi się z racuchem,
Schwytał sadło i rzetelnie
Wysmarował nim patelnię;
I, choć to jest rzecz kobieca,
Placki wkładać jął do pieca.

Z pieca wnet buchnęła para,
A Witalis już się stara,
Już dorzuca nowe placki,
Taki z niego kucharz chwacki.

Przyglądają się zwierzęta,
Pilnie chodzą mu po piętach,
Wprost doczekać się nie mogą!
A Witalis pręży ogon,
Zda się, wącha cudny zapach,
Aż zwierzętom kręci w chrapach,
Aż zwierzętom skręca kiszki.
A Witalis zbiera szyszki
I do ognia je dorzuca,
Kraży, krząta się, przykuca.

- Sadła jeszcze! Sadła! Prędzej!
No, bo placki wam uwędzę!

Po upływie pół godziny
Niewyraźne strojąc miny,
Z pieca wyjął lis patelnię
I do zwierząt rzekł beczelnie:
- A to dziwna jest przygoda!
Proszę, spójrzcie, sama woda!
Z takim śniegiem trudu szkoda:
Rozpuszczony, mokry, sypki -
Mogłyby w nim pływać rybki!
A mówiłem, że to nie to!
Śnieg powinien być jak beton -
Zamarznięty i w kawałkach.
Taki właśnie jest w Suwałkach,
W Augustowie, w Ostrołęce...
A to co! Umywam ręce!
Poszło całe wasze sadło,
Tyle pracy mej przepadło!
Nie nabiorę się powtórnie,
Mam was dosyć, boście durnie!

Zawstydziły się zwierzęta.
Racja! Nikt z nich nie pamiętał,
Że przed samym świtem jeszcze
Padał śnieg zmieszany z deszczem.
A śnieg z deszczem jest wodnisty -
Fakt dla wszystkich oczywisty.

Na nic całe przedsięwzięcie!

Lis wykręcił się na pięcie,
Spuścił ogon na znak smutku
I do nory powolutku
Poszedł, by się zamknąć w norze,
Bo był w bardzo złym humorze.

Lecz gdy już odeszli goście,
Wtedy z pieca jak najprościej
Wyjął sadło, włożył w garnki,
Garnki schował do spiżarki,
Po czym, dumny z tego zysku,
Krzyknął: - Brawo, Witalisku!

V

Jak co rok w Zielone Świąta
Zgromadziły się zwierzęta
Dla obioru prezydenta.

Jest to taka ważna sprawa,
Że zwierzęce wszystkie prawa
Dzień ten czynią dniem przymierza:
Zwierz na zwierz nie uderza,
Gęś jest pewna swego pierza,
Pies nie czai się na jeża,
Owca może wyjść ze stada -
Nikt nikogo nie napada.
Kot nie drapie, wilk nie zjada,

Nawet zając, choć ma pietra,
Z odległości kilometra
Obserwuje te wybory,
Nawet mysz wychodzi z nory,
Nawet tchórz ze strachu chory
Na wybory śpieszy żwawo,
Bo mu wolno. Bo ma prawo.

Lis Witalis, wielki szelma,
Łypie białkiem swego bielma,
Pręży ogon znakomity,
Zwisający na kształt kity,
I w tyrolskim kapeluszu
Kraży pełen animuszu.

Tu do wilka się przymili
I coś szepnie, tam po chwili
Do niedźwiedzia chyłkiem sunie,
Jakieś słówko rzuci kunie,
Chytrze mrugnie do jelenia,
Jeża muśnie od niechcienia,
Mysz ogonem połaskocze,
Mimochodem, Bóg wie o czym,
Porozmawia chwilę z rysiem.
- Świetnie, lisie Witalisie!

Wszyscy myślą: "A to szelma!
Jakiś w tym, widocznie, cel ma"

Już najstarszy wilk buławą
Machnął w lewo, machnął w prawo;
Takie jest zwierzęce prawo.

Już wybory rozpoczęte -
Któż zostanie prezydentem?

Lis spryciarzem był bezsprzecznie,
Więc o głos poprosił grzecznie,
Wszedł na pień i w słowach kilku
Tak powiedział:

- Zacny wilku,
I wy, wszyscy tu zebrani,
Tak przeze mnie szanowani,
Albo mówiąc wprost - zwierzęta!
Macie wybrać prezydenta.
Czyż jest ktoś, kto nie pamięta
Zasług lisa Witalisa?
W pięciu tomach ich nie spisać!
Otóż ja przed wielu laty,
Gdym był młody i bogaty,
W ciągu jednej tylko wiosny
Zasadziłem tutaj sosny,
Buki, dęby - niemal wszystko,
By zwierzętom dać schronisko!
Dla was szereg lat z zapałem
Drób w kurnikach hodowałem,
Dla was w chlewach tuczę wieprze,
Byście mieli życie lepsze.
Jestem waszym dobrodziejem,

A sam nie śpię, a sam nie jem,
Tylko myślę dniem i nocą,
Jak zwierzętom przyjść z pomocą...

Mruknął niedźwiedź do sąsiada:
- Co tu gadać - dobrze gada!
Szepnął borsuk: - Jaka swada,
Jaka dykcja i wymowa,
To przynajmniej tęga głowa!

A tymczasem lis po chwili
Ciągnął dalej: - Moi mili,
Nie namawiam, ale radzę:
Jeśli dziś otrzymam władzę,
Daję słowo, że zasadzę
W ciągu pięciu dni na piasku
Drzewa mego wynalazku.
Już nie szyszki, nie żołędzie,
Ale rosnać na nich będzie
Schab surowy i pieczony,
Boczki, szynki, salcesony,
Mortadela i serdelki,
Mięś przeróżnych wybór wielki,
Nawet prosię w galarecie,
Jeśli tylko zapagniecie.

Wszystkim oczy aż zabłyły:
- Lis niegorsze ma pomysły,
Niech zostanie prezydentem!
- Czy przyjęte? - Tak! Przyjęte!
Niedźwiedź objął go za szyję
I zawołał: - Niech nam żyje!
- Żyj nam, lisie Witalisie! -
Powtórzyły za nim rysie,
Kuny, tchórze i jelenie
Oraz całe zgromadzenie.

Po wyborach zgodnie z prawem
Lis od wilka wziął buławę
I do domu cztery kozły
Z wielką pompą go zawiozły.

Kiedy jechał leśną drogą,
Wpierw widziano jego ogon,
Co jak ruda chmura zwisa,
A dopiero potem - lisa.

Już nazajutrz na polanie
Zaczął lis urzędowanie.
Kazał podać sobie korę,
Wziął do garści pióro spore
I ustawę za ustawą
Jał wydawać z wielką wprawą:

- Zarządzamy, by zwierzęta
Do użytku prezydenta
Oddawały, prócz okupu,
Czwartą część swojego łupu.

Żeby każdy ptak od maja

Aż do maja wszystkie jaja
Niósł dla lisa Witalisa,
Który żółtka z nich wysysa.
Żeby kury i kurczęta
Same szły do prezydenta
I prosiły go ostrożnie,
Aby upiekł je na rożnie.

Nie pamiętam już, niestety,
Jakie prawa i dekryty
Wydał jeszcze lis ponadto,
Lecz zwierzęcy cały świat to,
Pełen lęku i poddania,
Wykonywał bez szemrania.

Uływały dni, tygodnie...
Lis Witalis żył wygodnie,
Łupił wszystkich, jak się dało,
I korzyści miał niemało.

Przed siedzibą jego zawsze
Dwa niedźwiedzie co najżwawsze
Stały sprawnie i wzorowo
Pełniąc wartę honorową.

Stały też jelenie cztery,
By go wozić na spacer.

A wiewiórki przez dzień cały
Przy ogonie się krzątały
I chuchały, i dmuchały,
I bez przerwy go czesały.

Nikt spokoju nie miał w lesie:
Ten przyniesie, ten odniesie,
Ten usłuży, tamten poda,
Nawet borsuk - wojewoda,
Choć to bardzo dumna sztuka,
Był u lisa za hajduka,
Więc złościło to borsuka.

Jadł Witalis za dwudziestu
I zwierzęta bez protestu
Napychały mu spiżarnię,
Chociaż same jadły marnie.

Nigdy nie chciał z nikim gadać
Ani nawet odpowiadać
Na pytania, na podania
I nie dawał posłuchania.
Siedział dumny niczym basza,
Jadł i mówił: - Sprawa wasza
Dobrze dbać o mój żołądek.
Taki musi być porządek!
Jam prezydent, czyli władza,
A jak komu nie dogadza,
Niech zabiera się i zmiata,
Jeśli nie chce wachać bata!

Gdy już wreszcie lisi nierząd
Klęską spadł na życie zwierząt,
Wilk cichaczem, bez hałasu,
Zwołał wielki wiec do lasu
I gdy wszyscy się zebrali,
Rzekł: - Nie może być tak dalej!

Czeka wszystkich nas zagłada
I jest na to jedna rada:
Złapmy lisa lub zastrzelmy -
Dość już rządów tego szelmy,
Tego lisa Witalisa,
Który soki z nas wysysa!

Padły słowa: - Racja! Brawo!
- Lis Witalis gwałci prawo!
- Zniszczył wszystkich nas ze szczętem!
- Precz! Precz z takim prezydentem!

I uchwalił wiec zwierzęcy,
Że nie ścierpi tego więcej,
Że lis broił co niemiara,
Więc go musi spotkać kara.

Lis tymczasem do lusterka
Niespokojnym okiem zerka;
Nagle widzi - co to? Rysa!
Strach obleciał Witalisa.
A tu rysa rośnie, rośnie,
Załamuje się ukośnie
I lusterko całe łamie.
A Witalis siedząc w jamie
Zimny pot ociera z czoła.
- Sprawa jednak niewesoła!

Machnął raz czy dwa ogonem,
Po czym smutnie rzekł: - Skończone!
Co użyłem, to użyłem,
Dobrze jadłem, dobrze piłem,
Za to teraz czas mi w drogę.
Trudno. Zostać tu nie mogę!

Zapakował parę waliz.
I chciał umknąć lis Witalis.

Zatrzymały go niedźwiedzie:
- Po co śpieszyć się, sąsiedzie?
Nie tak prędko, jeszcze chwilka,
Wstąpić musisz wpierw do wilka,
Wilk ma spraw do ciebie kilka.

- Wilk zaprasza? Rzecz ciekawa!

- Wilk cię wzywa w imię prawa!

- Ani myślę. Nie chce mi się!

- Mamy rozkaz Witalisie,
Lepiej się nie stawiaj hardo,

Bo dostaniesz halabardą.

Tu lisowi ścierpła skóra.
Widząc, że już nic nie wskóra,
Ciężko westchnął, spuścił ogon
I potulnie ruszył drogą.

Wilk nań czekał w cieniu buka:
Z prawej strony miał borsuka,
Z lewej dzika. Nieco dalej
Delegaci zwierząt stali.

Lis zatrzymał się w pół drogi,
Ale wilk, ogromnie srogi,
Ryknął: - Bliżej! Ruszaj mi się!
Kara cię nie minie, lisie!
Brać go!

Wzięły go dwa rysie,
Ten za nogi, ów za głowę;
Wilk zawołał więc: - Gotowe!

Wtedy wyszły dwie łasiczki;
Miała każda z nich nożyczki.
Pochwyciły ogon lisa,
Co jak ruda chmura zwisał,
I do pracy się zabrały:
Cięły, strzygły, przystrzygały,
Odrzucały rude pęki,
Podcinały puszek miękki
Szybko, zwinnie, lecz ostrożnie.
A lis wił się jak na rożnie,
Jęczał, szlochał, zrozpaczony:
- Taki ogon nad ogony
Ostrzyc... zniszczyć! O zbrodniarze!
Jakżeż teraz się pokażę?
Jak pokażę się z ogonem
Tak nikczemnie ostrzyżonym?!

Rzeczywiście. Ogon lisa
Zwisał jak pałeczka łysa,
A wiatr rudy puch rozwiewał
I unosił ponad drzewa.

Wypuściły lisa rysie,
A wilk ryknął: - Wynoś mi się,
Zmiataj, lisie Witalisie!

Lis uciekał, gdzie pieprz rośnie.
Raz zatrzymał się przy sośnie
I usłyszał zawstydzony,
Jak się z niego śmiały wrony,
Kuny, susły, nawet jeże -
Každy ptak i każde zwierzę:

- Taki ogon zamiast tyczki
Mógłby być dla ogrodniczki!

- Toż to sęk, nie żaden ogon!

- Śmieszny widok, swoją drogą!

- To ci ogon nad ogony!...

Lis Witalis, ośmieszony,
Wyszyszony, uciekł z lasu
I już nikt od tego czasu
Nie oglądał Witalisa -
Nawet ja, com go opisał.